



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Karakal.

KARAKAL.

Rysie mało się różnią od innych drapieżnych kotów, odznaczają się wyborym węchem i wzrokiem. W Europie należą już do osobliwości, chociaż dawniej po wszystkich lasach było ich pełno. Indyjski ryś przez krajowców zwany jest Karakal, co ma znaczyć czarnouchy, bo w rzeczy samój uszy jego odbijają ciemniejszą barwą od reszty sierści. Na

rysunku widzimy go czatującego na przesliczne, centkowane zwierzątko, które widocznie nie przeczuwa niebezpieczeństwa. Jest to jeleni z gatunku zwanego *axis*, najpiękniejszy z całej rodziny jeleni, nieduży, lecz nadzwyczaj zręczny i zwinny. Czy też zdoła umknąć przed drapieżnym karakalem? Życzymy mu tego z całego serca.

W SĄSIADACH.

(Obrazek wiejski).

— Ani ja się opatrzyła,
Ni opamiętała,
Jak zła dola powichrzyła,
Dobro mi zabrała!
Oj powiało ci nademną,
Jak tuman stepowy!
W świat się rzucam — ciemno, ciemno,
U stóp szlak cierniowy...
A no, kto mi doda siły
Na tę noc grobową?
Gwiazdy ognie zapaliły,
Słyszać Boże słowo:
„Żyłaś w siole — świat twój sioło
Z niwami żyznymi;
Dźwignij dłonie, nachyl czoło,
Pracuj między swemi.”
Ot i wiem już, z kąd skrę w niebie
Bierze promień blady;
Dumkę pchnęła ja za siebie,
Taj poszła w sąsiady.
I przyjęli sielscy ludzie
Nieswoją za swoją:
W wiejskim słońcu, w wiejskim trudzie,
Dnie jak łąny stoją.
Ciągła praca smutek skraca —
Pracować mi snadnie,
Pracą dusza się zbogaca,
I coś w dłonie padnie.
Pójdę ja na ludzkie pola,
Zwiążę kłos do kłosa —
Jest zasilek, a głód dola
Już mi nie tknie włosa.
Pójdę ja na dworskie łąny,
Zarobię grosiwa,
I osrebrzę wiek sterany,
Jak liść wierzba siwa.
A za wspólny z ludźmi kątek
Złożę dar w zapłacie,
To w niedzielę, to w przyświątek,
Pełniąc służby w chacie.
Niechże Tobie będzie chwała,
Boże dobrej rady,
Że ja życiem ocalała,
Że w siole „sąsiady.”

Romania Kamińska.

Czarodziejskie ogrody cesarzowej japońskiej.

(Dalszy ciąg).

Z progu tego salonu, przez odsłonięty otwór w ścianie, widzimy przed sobą krajobraz podobny. Pośród nielicznych, pochylonych gałęzi cedrowych, ścielą się aksamitne murawy, sterczą dziwaczne skały, płyną strumyki, a na nich rzucone w kształcie łuków lekkie mostki; zwierciadła wodne odbijają zielen gałęzi, cieniste ulice bieżą gdzieś w dal nieskończoną, na trawnikach wyrastają gdzieś kępy „srebrzystych bambusów”, których jasna zieloność jest prawie biała, to znów „czerwone klony”, wyglądające na drzewa koralowe, dalej jakieś krzewy o liściach prawie fioletowych, jak skabiozy. A poza temi sztucznymi, fantastycznymi roślinami, ukazuje się szereg pagórków i wąwozów, ciemnych gąszczów, naśladujących puszczę leśną. Ta ustroń cicha, samotna, osobliwsza wywiera wrażenie po zgiełku miejskim.

Dziwna fantazyja monarsza! W ogrodach tych, do których nikt nigdy nie zagląda, panuje cisza niezwykła, spokój niewidziany, a teraz w tym dniu jesiennym wszystko to przybiera odcień jeszcze bardziej posępny.

Schodzimy wszyscy do ogrodu, postępujemy po ścieżkach, przykrytych po większej części białymi matami; dlatego zapewne, aby nóżki cesarzowej nie potrzebowały stąpać po piasku, chociaż i piasek jest biały, miękki, starannie przesiany. Przybyło jeszcze ze trzy nowe czarodziejki w sukniach niewidzianych barw i blasków; w białym tym pałacu przebywa widocznie liczna rzesza tych świetnych pfasz. Policzyłem zgromadzone osoby, doszedłem do czterdziestu, zapewne więcej już nikt nie przybędzie. Wcale to nie dużo, czterdzieści osób, snujących się pośród tych rozległych ogrodów, w których czuć wieczną pustkę. Błąkamy się beładnie, jak owce, po większej części nie wiemy nawet, pocóśmy tu przyszli i na czem polega uroczystość.

Tu i owdzie na rogach ulic stoją owi sztywni lokaje w karmazynowych kamizelkach, a jest ich tu legion cały, i wskazują, którzy się zwrócić mamy, gdzie wejście dla nas wzbronione. Niektóre części parku, niektóre ulice, których oczy nasze nie powinny oglądać, przykryte są długimi, czarnymi zasłonami; zasłony te krepowe z białymi brzegami wyglądają jakby żałobne ozdoby. Pogodne słońce listopadowe grzeje, prawie jak latem, światło jego jest jednak lekko zamglone, czuć jesień w powietrzu.

Zatrzymaliśmy się na małym placu okrągłym, piaskiem usypanym, dokoła wznoszą się lekkie zabudowania z bambusu, nakształt altanek, przybrane ozdobnymi drapezami z jasno fiołkowego jedwabiu, z frenzlami i kutasami. Barwą fiołkowa na Wschodzie używana była przez monarchów, tak samo, jak purpura na Zachodzie. Na tych liliowych zasłonach rozsypane są wszędzie ogromne, białe, herbowe złocienie.

Tu w tych cesarskich altanach mieści się wystawa kwiatów, a właściwie wystawa samych złocieni, pięknych, przepysznych, niekiedy nieprawdopodobnych. Najjaśniejsi państwo zaprosili gości swych, by mieli szczęście oglądać te kwiaty, a nikt z pewnością nie widział podobnych w Europie. Z geometryczną regularnością każdy krzaczek wyrasta z małego pagóreczka, pokrytego mchem delikatnym, jak aksamitna powłoka. Krzaczek taki ma jeden kwiat tylko, lecz co za kwiat! Większy od naszych słoneczników, każdy ma kształt przedziwnie piękny, barwę nieporównaną w swym rodzaju. I tak: w jednym płatków duże, mięsiste, rozkładają się szeroko, tworząc jakby wspaniałą różową główkę. Tuż obok inny, rozstrzępiony, przypomina znów główkę kapuściana, barwę ma ciemnego brązu, z cudnym metalowym odbłyskiem. Trzeci jasno złocisty mieści w sobie niezliczoną ilość drobnych, delikatnych płateczków, które piętrzą się zrazu w górę, potem pochylają nakształt rozsypanego snopu. Niektóre mają odcień biały, matowy, jakby kość słoniowa, inne białoróżowe, żółtawe, jak róże herbaciane, to znów ciemno purpurowe. Są gładkie, rozstrzępione, nakrapiane, niepodobna wyliczyć tych wszystkich cudów. A łatwo pojąć: ile trudów kosztuje hodowanie owych przepysznych kwiatów, przypatrzwszy się zblizka, jak każda szypułka, podtrzymująca olbrzymią kwiatogłówkę, uwiązana jest starannie do drewnianej podpórki, ukrytej pośród liści, jak każda gałązka poboczna stosuje się do tego, by głównej nie przeszkadzała; soków nie wyciągała bez potrzeby.

Małe czarodziejki w strojach kolibrów spoglądają wraz z nami na kwiaty, lecz widocznie oswojone są z tym widokiem. Słońce tak przygrzewa, że jest prawie gorąco, więc rozkładają raz po raz dworskie swoje wachlarze, a wachlarzy takiej wielkości nie znajdzie pewnie na świecie całym. Na fałdowanym jedwabiu, z którego się składają, malowane są całe krajobrazy, wybrzeża morskie, obłoki, blade księżycowe tarcze, przelatujące gromady ptactwa, kwiaty drzew wiosennych, unoszone powiewem wiatru. Do fałdów uwiązane są długie kutasy, wieszadła rozmaite, które spadają na dół

i piasek zamiatają niekiedy, gdy piękne panie szybko machają wachlarzami.

Któraś z pań dworskich doradza, abyśmy przeszli dalej, obaczyć inne jeszcze kwiaty, a potem wstąpili na wzgórze, zkąd widać będzie pochód cesarzowej. Postępujemy cieniastą aleją, po jednej stronie mamy wzniesienie, pokryte ogromnymi cedrami, po drugiej sadzawkę, z której wyglądają wspaniałe lotusy. Stare cedry mają pnie porośnięte mchami, gałęzie ich zwieszają się aż do murawy. Rzekłbyś krajo-braz wiejski, bo oto nawet pole ryżowe, tak, prawdziwe pole, tu Mikado, według starożytnego zwyczaju, co rok własną ręką ryż kosi.

Małe płaskowzgórze, na którym się wreszcie zatrzymujemy, stanowi jeden kwietnik, pokryty całkowicie ślicznymi różowemi złocieniami. Widok ztąd odsłania się na oddalone części parku. W czarującym tem ustroniu panuje cisza głęboka, trudno uwierzyć, że tak niedaleko ztąd tłumy miejskie gwarem i huczną muzyką napełniają ulice.

U stóp płaskowzgórza, pod osłoną lekkich kiosków, zdobnych także w fiołkowe draperye, mieści się dalszy ciąg wystawy kwiatowej, inne fantastyczne obrazy roztaczają się przed oczyma naszymi, złocenie i zawsze złocenie przedstawiają się w postaciach coraz nowych, coraz dziwniejszych. Tu olbrzymie bukiety, nakształt tych, które u nas służą do ozdoby ołtarzy, lecz wielkości takiej, jak drzewa; już to nie są kwiaty pojedyncze, na jednej szypułce samotnej wyhodowane, lecz pęki szypulek, do stu nieledwie, z przedziwną symetrią układają się dokoła łodygi głównej. A na końcu każdej z owych stu szypulek wykwiata kwiat okazały, w całej pełni rozwoju, nigdzie tam nie napotka się zwiędłego, przekwitłego, lub nierozwitego pączka, wszystkie jednocześnie musiały być gotowe na dzień oznaczony, na ten dzień jeden swęj przemijającej chwały i świetności, po którym mają zwiędnąć i zginąć niedługo. Każda szypułka ma uczeponą zgrabnie wstążeczkę papierową, a na niej wypisana jest poszczególne nazwa kwiatu tem osobliwszem pismem podwójnem, które się czyta dowolnie po chińsku i po japońsku. A co to za nazwy bajeczne! „dziesięć tysięcy razy złotem usypany”, to znów: „mgła górską, obłoczek jesienny” i t. d.

Już w pół do czwartej! Cesarzowa się spóźnia. W niektórych kółkach zaczynają szeptać między sobą, że może się dziś i nie ukaże wcale... niepokój mnie ogarnia, ja tu przyszedłem jedynie po to, ażeby ją zobaczyć. Stałem na samym skraju płaskowzgórka, nie ruszam się z miejsca i wzrok mam wlepiony w oddaloną ulicę, prowadzącą z pałacu, wzdłuż sadzawki z lotusami i wyzynki zasadzonej cedrami.

Bardzo mi tu zresztą wygodnie i przyjemnie na tym pagórku, pod osłoną fiołkowych draperyj z cesarskimi herbami. Towarzysze moi rozmawiają półgłosem różnemi językami, dwie orkiestry pałacowe, ukryte za gęstwiną drzew, przygrywają z daleka, a muzyka ta dziwnie odbija od otoczenia, tak jak fraki nasze europejskie. Grają bowiem melodye z Rigoletta i innych oper, najnowszych nawet, Berlioz, Massenet, Saint Saëns, przypominają nam Paryż w tej oddalonej krainie. Grają wcale dobrze... ale jakież to zamęt sprawia w głowie!... myśl płacze się mimowoli, zapomina się, co to za fantastyczna kraina, gdzie baśnie wschodnie mieszają się z motywami oper nowożytnych?..

Niema w tem jednak śmieszności żadnej, całość obrazu nie razi, towarzystwo, złożone z żywiołów najróżnorodniejszych, dość jest pomimo to dobrane. Uroczyście, piękna i wdzięczna sama z siebie, podnosi jeszcze urok dnia niezwykle pogodnego, jasnego słońca i ciepła: w Listopadzie to osobliwość nielada. Rozmarzenie musi ogarnąć duszę, gdy wzrok błądzi pośród tych wspaniałych kwietników, wytworów fantazyi wschodniej, a słuch pieści melodye zachodnie, odgłosy innego, oddalonego świata. A przytem doznaje się jeszcze szczególnego wrażenia na tę myśl, cisnącą się do głowy, że many przed oczyma cywilizacya, która dziś jutro utonie w falach zapomnienia. Te jaskrawe stroje narodowe, te zabytki przeszłości, ustąpią wkrótce miejsca nowym prądom,

płynącym z zachodu. Jakże i dziś już śmiesznie i szpetnie wyglądają dostojnicy japońscy w czarnych frakach obok swych małżonek, przystrojonych w dworskie ubiory. *)

A panie przeciwnie przepyszne są w tych jaskrawych kostiumach, z olbrzymimi wachlarzami w rękach. Oto coraz więcej ich nadchodzi z głębi ogrodu, nie tracą widocznie nadziei, że monarchini się ukaże. Przesuwają się z wolna, poważnie po ścieżkach ogrodowych, płaszcze ich rozwiane przypominają stroje z Tysiąca i jednej nocy. Znowu poznaję pomiędzy niemi tancerki moje z balów, lecz daleko im dziś lepiej do twarzy, niż wówczas, gdy ściśnięte w gorsety, paryżkie suknie na siebie wciągnęły; dziś wyglądają na kapłanki, niemal na boginki. A jak poważnie, pięknie kłaniają się obyczajem japońskim; doprawdy, nasze panie europejskie, żony posłów, przybyłe tu wraz z małżonkami, tracą bardzo przy nich...

(d. c. n.)

UPOKORZENIE.

Helenka, czternastoletnia uczennica pensyi, powracała po lekcjach do domu, szła krokiem śpiesznym, bo dzień był mroźny, śnieg obfity spadł w nocy i skrzypiał pod nogami. Wtem doleciały jej uszu żalodne skargi, wychodzące z za wysokiego muru nowobudującej się kamienicy. Helenka miała dobre serce, prędkiej jeszcze podbiegła do miejsca, zkąd głos się odzywał i ujrzała przed sobą niedużego chłopaczka, który rozcierał oczy rękami zsniałemi z zimna, czapka jego i tornister rzucone na ziemię świadczyły, że to był uczeń jakiejś szkoły.

— Co ci się stało, kawalerze? — spytała ze współczuciem młoda dziewczeczka.

Chłopiec przestał jęczeć, odjął pięści od oczu, ale widocznie z trudnością mu przychodziło patrzeć, musiał mieć oczy śniegiem zasypane i dlatego je tak usilnie rozcierał. Obaczywszy przy sobie pensyonarkę, dorosłą panienkę, przymknął znów powieki w skutek zawstydenia i nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

— Jakiś wypadek musiał ci się wydarzyć, kawalerze — mówiła znów łagodnie Helenka, nie chcąc go w kłopotcie odstępować — pocóż to wychodzić w takie zimno bez rękawiczek, wszak ręce odmrozić łatwo.

Chłopiec był ubrany porządnie, nie przypuszczała więc Helenka, aby nie miał zimowych rękawiczek, ubóstwa na nim nie znać było wcale.

— Bo... bo... oni mi rękawiczki zabrali — wyjąkał wreszcie — czapkę rzucili, tornister także, obsypali mi całą głowę śniegiem i jeszcze przezywali mnie... panienką...

Ostatni wyraz wymówił wahając się, oczywiście uczuł, że to niezbyt grzecznie powiedzieć *panience*, jakoby przezwisko tego rodzaju było dla niego uchybieniem.

Helenka parsknęła śmiechem.

— I kawaler się o to obraził? — zawołała — zapewne koledzy przezywali cię panienką, nieprawdaż?

Chłopiec kiwnął głową na znak potwierdzenia. Helenka tymczasem podniosła czapkę jego i tornister, otrzepała ze śniegu, potem zdjęła swoje własne rękawiczki, podała je chłopcu i rzekła:

— Ja mam mufkę, a do domu mi niedaleko, nie zmarznę; odda mi kawaler jutro, możemy się spotkać tu na ulicy, ja zawsze o tój porze wracam z pensyi. Można odesłać zresztą do stróża, moi rodzice mieszkają oto tam w tój dużej kamienicy swojej własnej na rogu. Już ja tam nie wiem, co pano-

*) Piszący to trafnie przewidywał. Następnego roku 1887 z rozkazu monarchy święto złocieni obchodzone było zupełnie inaczej; cesarzowa wystąpiła w sukni ciemnej, skrojonej podług paryżkiego żurnalu, za jej przykładem poszły wszystkie panie dworskie, małowiczny kostium narodowy usunięty został z użycia.

wie uczniowie tak śmiesznego widzą w panienkach — mówiła dalej, wzruszając ramionami — że się *panienkami* przezywają, chcąc sobie uchybić. To bardzo nieładnie, szczególnie ze strony takich młodych ludzi, co mają siostry. Powinny także pamiętać, że matki ich kiedyś były panienkami.

— To też nie myślę się o to obrażać — rzekł chłopczek ośmielony, patrząc prosto w oczy Helence — jeżeli mnie jutro jeszcze nazwą panienką, odpowiem im: I owszem, wołę być podobny do grzecznej i dobrze wychowanej panienki, aniżeli do takich łobuzów swawolnych, jak wy.

Helena rozśmiała się z roztropnej odpowiedzi chłopczyka, który jej podziękował za pożyczenie rękawiczek i rozeszli się w najlepszej zgodzie.

List z Warszawy.

Ukochane towarzyszki moje! Tyle odbieram od was dowodów życzliwości, przyjaźni prawdziwej, że nie wiem już sama, jak wdzięczność moje wyrazić. Czem ja na to zasłużyłam? Ach! podobno tem jedynie, że was tak kocham serdecznie; wy to czujecie, bo miłość, to wielka siła, gorąca moja miłość pociąga serduszka wasze. A poczciweż to serduszka, jakże was nie kochać, moje miłe? Oj, cobym ja dała za to w tej chwili, żebym miała wielką wymowę, wielki dar słowa! Jakżebym pragnęła opowiedzieć wam w pięknej i ozdobnej mowie, ile radości, ile pożytku sprawiły ubogiej dziatwie wasze ładne roboty, na konkurs przysłane. Zachećlibo to pewnie niejedną panienkę leniuszka do igły, gdyby była wraz ze mną świadkiem rozdawania tych robót, gdyby widziała te ły szczęścia, uśmiechy zachwycenia, usłyszała wykrzykniki radosne.

— To twoja rzecz, Gołąbko — powiedziała nasza Kochana pani — tyś to powinna opisać towarzyszkom, a staraj się opisać w taki sposób, aby wrażenie wywrzeć na ich serduszkach.

Dumą mię napełniło to polecenie, lecz zarazem i obawę uczułam, bo „wywrzeć wrażenie”, rzecz niełatwa, ja zaś do prawdy zarozumiałą nie jestem, talentu pisarskiego, wymowy, nie przypisywam sobie bynajmniej. Ale po chwili tego niepokoju pomyślałam sobie: Poczóż się mam silić na ozdobne słówka, na wyrazy wyszukane, prawda sama dość jest wymowną, a gołąbka nie potrzebuje stroić się w pióra orlicy. Będę więc mówiła po prostu do kochanych przyjaciółeczek moich, jak mówiłam dotychczas, one mi zrozumieją.

Któż nie słyszy o tem, że są ubodzy, że mnóstwo dzieci biednych nie ma się czem okryć zimą? Wszyscy to doskonale wiemy, tylko na nieszczęście, nie mając tej nędzy przed oczyma, rzadko kiedy o niej pomyślimy. Co więc, nie pamiętamy o tem, że dla tych biedaków wielkim darem, skarbem niemal może być jakiś przedmiot drobny, nam już całkiem niepotrzebny, żadnej wartości nie mający dla nas. Gdy dziewczynka wyrośnie naprzykład z ciepłego kaftanika, ciepłej okrywki, dostaje nowe ubranie, a o tamto, zwłaszcza jeśli jest już podniszczone, wcale nie dba. Ona nie rozumie, że dla innej, ubogiej dziewczynki, takie odzienie ciepłe, choćby i dobrze podniszczone, byłoby najwyższym szczęściem. Często także dziewczynki, ucząc się roboty szydełkowej lub drutowej, robią jakieś nieużyteczne taśmy, woreczki, na nic nie zdadne. Inaczej postąpiła malutka Tuberoza, która na konkurs nasz przysłała długie, czerwone pończoszki włóczkowe, własnymi łapkami zrobione.

O, żebyś ty, Tuberozo malutka, mogła była widzieć, jak ja w pokoju Kochanej pani wciągałam te pończoszki biednemu kaleczce. Chłopczyk ten, Łukaszek mu na imię, ma cztery lata, ale nie może chodzić, bo od urodzenia jest chory, kaleka na nogi, a podobno i garb mieć będzie. Bardzo jednak pomimo to roztropny, mówi wyraźnie i co najdziwniejsze, pomimo choroby i kalectwa, zawsze wesolutki i uśmiechnięty. Jakiż on był uszczęśliwiony, gdy ja mu te

ładne, czerwone pończoszki włożyłam! Śmiał się, klaskał w rączki, wykrzykiwał z wielkiej uciechy. Ja mu powiedziałam, że to dobra panienka zrobiła dla niego te pończoszki, że trzeba za nią paciorek zmówić.

— Zmówim, zmówim paciorek za paniusię! — wołał raz po raz, składając rączki w zachwyceniu. Starsza jego siostrzyczka dwunastoletnia dostała także sukienkę barchanową, malec i jej przypominał pokilkakrotnie:

— A i ty zmów paciorek, Madzia? zmów paciorek za paniunię, bo paniunia dobra.—Wieczorem Łukaszek zasnął nie chciał, póki matka nie położyła mu pod poduszczeżkę pończoszek czerwonych i barchanowego kaftaniczka, a przy pacierzu sam przypomina rano i wieczór „dobrą paniunię”.

Te dzieci, którym Kochana pani pomaga o ile może, mają matkę bardzo ubogą, wdowę, mieszka ona na piątym piętrze i utrzymuje się z prania bielizny. Ale ponieważ nie bierze lepszego prania, bo jej brak potrzebnych do tego przyborów, więc opiera tylko uboższą ludność, niewiele też zarobić może. Córeczka jej pomaga, nosi wodę na piąte piętro i tłomoki bielizny dźwiga, możecie sobie wyobrazić, jaka to ciężka praca dla dwunastoletniej dziewczynki. A jednak i ona jest zawsze wesola, tak samo jak braciśzek mały, kocha go niezmiernie, piastuje i nosi na rękach w chwilach wolnych.

Dziewieczka ta chodziła dawniej do szkoły, do Sióstr Miłosierdzia, nauczyła się czytać i tak lubi czytanie, że z największą radością pobierała znalezione u Kochanej Pani korekty „Wieczorów”, to jest arkusze próbne, na których się omyłki poprawiają. Poskładała je, podobierała i cieszyła się niezmiernie, że będzie miała co czytać w Niedzielę. Ja też od tej pory zbierałam dla niej te korekty. Przypomniałam sobie przytem że skruchą, jak dawniej nie raz, młodszą będąc, darłam i niszczyłam książki... zamiast oddać przeczytane i niepotrzebne biednym dzieciom, lubiącym naukę, a nie mającym na takie zbytki, jak książeczki.

A w Szpitaliku dla dzieci, a w ochronce, co to była radość, gdy nadeszły paki ubrania z redakcyi „Wieczorów”. Cieszyły się dzieci, cieszyły się także poczciwe zakonniczki. Ile to dobrego zrobić można niewielkim kosztem. To też nie wątpię, że i na Gwiazdkę kochane nasze czytelniczki pośpiętną z ofiarami. Najdrobniejszy przedmiot, na pozór niezdatny, przyda się jeszcze niejednemu dziecku, czy ubranie znoszone, czy książeczka zużyta, czy na pół zniszczona zabawka. Jeśli kochacie Gołąbkę pocztową, użyjcie jej za posłanniczkę waszych darów, cóż to za szczęście będzie dla mnie jakby z gałązką oliwną, pójdę od was do zakątków, gdzie mieszkają biedne, obdarte i zgłodniałe dzieci, niosąc im wieść o święta, a dla was zbierając w zamian błogosławieństwa i modlitwy.

Teraz muszę coprędzej rozpocząć zwykłą pogadankę z wami. miłe korespondentki, by choć słówkiem podziękować każdej za takie miłe odezwy. Jaskółka z nad Sekwany zawsze tyle zajmujących rzeczy donosi, że nie weźmiecie chyba za złe, gdy z jej listów podam tu parę ustępów. „Zwieździeliśmy w tych dniach, pisze do mnie Jaskółeczka, rzecz bardzo ciekawą, muzeum etnograficzne w Trokadero. Są tam ubiory, sprzęty, mieszkania, wszystkich prawie narodów, a nawet lalki wzrostu człowieka, ubrane w stroje każdego ludu. Między innymi widzieliśmy Polaka w stroju dawny i wieśniaczkę z Galicyi. Naprzeciw nich Szwedka i Niemka. Jest także krajobraz biegunowy z namiotami Eskimosów, widać tam sanie, pieski, renifery i t. d. Pałac Trokadero był zbudowany, jak wiesz, na ostatnią wystawę r. 1878. Naprzeciw niego wznosi się już ogromna wieża Eiffel, która ma być skończona na wystawę przyszłoroczną. Gdyśmy ja widzieli, była już tak wysoka, jak piramidy egipskie, a raczej, jak najwyższa z piramid. Nie taka znów brzydka, jak mi się przedtem wydała, tylko nudną jest rzeczą, że nie można spokojnie jej podziwiać, gdyż mnóstwo ludzi roi się dookoła.”

„W dzień Zaduszny poszliśmy z mamą na cmentarz Montmartre, gdzie są pochowani Słowacki i Zaleski. Gro

bowiec Słowackiego bardzo piękny: wyobraź sobie kilka skał, położonych jedna na drugiej, a na szczycie tego wzgóрка krzyż między skałami, portret poety, lutnia, tytuły jego dzieł i tuż pod krzyżem sowa. Szkoda tylko, że na tym grobie ża-

wienie teatralne. Zawsze podziwiam odwagę koleżanek, grających komedią, tańczących, śpiewających w galeryi przed tyłu widzami. A niema co mówić, niektóre z nich doskonale grają. Odegrano więc trzy sztuczki: komedię



Upokorzenie.

dnego kwiatka nie było, oprócz naszych dwóch skromnych bukiecików z nieśmiertelników.”

W drugim liściku Jaskółka znów donosi rzeczy nadzwyczaj zajmujące. „Trzeba ci wiedzieć, kochana Gołąbko, pisze, że w ostatnią niedzielę, 18 Listopada, święcono imieniny hrabiny Działyńskiej, opiekunki pensyi naszój w Hotel Lambert. Rano była msza w kaplicy, a na wieczór... przedsta-

francuzką, „Kalosze” Fredry i operetkę, a na koniec przedstawienia ośm koleżanek tańczyło mazura. Wszystkie były w strojach krakowskich, tancerki miały wieńce z kwiatów naturalnych, białych i czerwonych, a tancerze (niby, bo to były także panienki) aby się odróżnić, czapeczki zielone, obszyte białym futerkiem. Potem piłyśmy herbatę, koleżanki tańczyły już dla własnej przyjemności, grano na fortepia-

nie, śpiewano, a potem niestety!... odjechano. Było dość gości obecnych, między nimi kochana pani Duchńska. Jedną z moich przyjaciółek przybyła w stroju góralek karpaccich, przysłanym jęj z kraju."

"Żebyś wiedziała, pisze jeszcze ta nieoceniona Jaskółka nasza, jak mnie uszczęśliwiła wzmianka o pani Ogonowskiej w „Wieczorach." Bo dowiedz się, że mam szczęście znać ją osobiście. Przyjeżdżała do Paryża dla leczenia bolących oczu. Widziałam ją raz przedtem, będąc dzieckiem. Żebyś wiedziała, jaka ona miła, serdeczna! Jak lubi młodzież, szczególnie młode panienki! Wierzyć nie zechcesz, gdy ci powiem, że pokochałam ją odrazu. Opowiadała mi, że uczniowie jęj Włosi odegrali u nięj komedijkę polską, a próby tak były zabawne, bo Włosi nie mogli się pozbyć właściwego swego akcentu, mówiąc po polsku. Nieprawdaż, jaka ja jestem szczęśliwa, że znam dwie tak powszechnie szanowane i kochane osoby, jak panie Ogonowska i Duchńska? O, żebym kiedy mogła być choć trochę do nich podobną!"

Wisienka z nad Sobu powiada, że każda wzmianka o nięj w listach moich największą jęj sprawia przyjemność. O, Wisienko droga, żebyś ty wiedziała, z jaką ja przyjemnością zawsze wam wszystkim odpisuję. Cóż, kiedy ten brak miejsca!... oto i teraz, ogromny stos liścików leży przedemną, z każdą radabym pogawędzić, a tu już mnóstwo papieru zabzgrałam. O adres bądź spokojna, Wisienko, byleś tylko wypisała adres naszej redakcyi, z pewnością liściki dojdą i do mnie, i do Kochanej Pani. Nigdy nazwisk dodawać nie trzeba, bo my nie mieszkamy w redakcyi, więc ztąd tylko kłopot.

Blondynka z Cieszyna także ciekawe rzeczy widziała podczas wakacyj; zwiedzała kopalnie, a racęj studnie nafty w Galicyi. Pysnie to musi wyglądać, gdy nafta, jak opisuje Blondynka, tryska nakształt fontany. Puszczano ją namiętnie dla gości, przybyłych z Iwonicza. Wszystkie takie cuda przyrody bardzo zajmujący przedstawiać muszą widok.

Wystawcie sobie, co za miła niespodzianka mnie spotkała! Oto ptaszek jakiś wcale nie zwyczajny, dzielny Sokół z nad Narwi, napisał do mnie śliczny liścik i przysłał mi w darze bukietek zasuszonych kwiatków. Ale jaki! Doprawdy Sokół ten może się pochwalić wytwornym, artystycznym smakiem. Bukietek jak cacko wygląda, nie mogłam się nim nacieszyć i chowam na pamiątkę, a rycerskiemu Sokołowi tyśiączne dzięki zasyłam.

Stokrotka z nad Stochodu mieszka w tych bagnistych okolicach Polesia, które opisała autorka powieści „Na zbojckim ostrowie". Stokrotka powiada, że niebezpieczeństwa, w tęj powieści przedstawione, nie są bynajmniej zmyśleniem, gdyż w tych czasach właśnie zdarzył się taki okropny wypadek: myśliwy zagrzeźł w błocie i zginął z głodu i zimna, nie mogąc się wydobyć z matni. Powiadasz, Stokrotko, że lubisz układać wierszyki, chociaż ich drukować nie myślisz. Wierzę mi, nie pragnij nigdy druku przedwcześnie. Jeżeli masz jednak talent, staraj się go wyrabiać i kształcić, a na druk zawsze przyjdzie pora. Znam panienki, które przysyłały do naszej redakcyi próbki prozą i wierszem pisane, a gdy im powiedziano, że chociaż nie są bez zalet, drukowane być nie mogą, zniechęcone i nadąsane orzekły, że niewarto pisać, skoro to nie ma być drukowane. Czy to rozsądnie? Czyż talent pisarski nie potrzebuje wprawy, jak każdy inny? Znakomici pisarze długo zwykle pracują, nim utworami wyższej wartości sławę zdobędą, a takie... podlotki (nie śmiem użyć innego wyrażenia), żałują swojej pracy, skoro nie mają być odrazu drukowane!

Śnieżyca i Krasnolica niepokoją się o swoje wypracowania. O, kochaneczki moje, już my tu radziłyśmy o tem z Kochaną panią, a ona pierwsza powiedziała: Trzymaj się dobrze, Gołąbko, nie bądź stronna, pomnij na Brutusa, bo chociaż obie nie możemy zapomnieć tych cudnych kwiatów, no... i radebyśmy znów być obsypane darami, gdy fiołki wyjrzą z pod śniegu, musimy jednak sąd sprawiedliwy wydać, przękustwo, to rzecz szpetna...

Halka z Litwy musi być rada z wyniku konkursu robót,

mój zaś niezadługo będzie także rozstrzygnięty; zareczęm cię, ja na treść więcej zwracam uwagi, niż na kwiecistość stylu. Dzięki Bogu mnóstwo odpowiedzi nadchodzi, widać, że przedmiot się podobał. Nadzieja opisuje bardzo malowniczo swoje mieszkanie wiejskie i piękny las, w którym spędza rozkoszne godziny w towarzystwie brata Sokoła. Nie sądzę, droga Nadziejo, aby miasto zimą tak znów było wesołe i przyjemne. Kto pracuje z ochotą, a do takich ty należysz, widocznie, ten nie nudzi się nigdzie i nigdy. Jaka też jesteś drażliwa, moja Jedlinko, żeby wszystko zaraz do siebie stosować. Teraz przecież musiałaś zrozumieć, że w Pisemki naszym nieraz zamieszczają drobne opowiadania, pisane przez starsze siostrzyczki dla młodszego rodzeństwa. Nie powinno to autoreczek w dumę wbić, ale też nic a nic niema w tem nagannego, jeśli kto chce pióra poprobować.

Woda źródłana pochlebila mi bardzo, zawiązując korespondencyą ze mną, chociaż liczy się do osóbek prawie dorosłych. Pytanie twoje co do „Dwóch siostr", Wodo moja miła, powtórzyłam Kochanej Pani, kazała ci powiedzieć, że rzeczywiście w powieści tęj zamieściła dużo szczegółów, zaczerpniętych z życia prawdziwego. Brzoza z Gaiku prosi abym jęj doniosła o nowych książkach. Jakoś dotąd głuchonie wiele słycać o wydawnictwach dla młodzieży, lecz nie omieszkać przed Nowym rokiem donieść wam o nowościach, jak tylko się pojawią. Jakąż ty śliczną masz kaligrafią! Rozpieszczona Jedynaczko! (ten dodatek z pewnością jest tylko pseudonymem). Trzeba ci wiedzieć, że ładna kaligrafia to słaba strona naszej Kochanej Pani, która nie lubi modynych terazniejszych maczków, a wyraźne i porządne pismo uważa za zaletę wielką młodej panienki. Masz słuszną zupełną, ja pragnę całym sercem, abyście mnie uważały za starszą siostrzyczkę i z zaufaniem zupełnie do mnie się zwracały. Wyrzeczcie się tylko ciekawości, towarzyski młodo poco wam imię moje, fotografia? Wierzajcie mi, nie zyskałybyście nic a nic na tęj znajomości; pozwólcie mi być dla was Gołąbką pocztową i na tem poprzestańcie. Męła prosi o doniesienie, kiedy są imienniny Kochanej Pani; ale ona powiada, że ich nie obchodzi, a ponieważ ma imię Matki Bożkiej, więc chyba w każde jęj święto mogłaby obchodzić imienniny, co jest bardzo wygodnie.

Mylisz się bardzo, Poziomko kujawska, doczytałam list twój do końca i zajął mnie bardzo. Podziwiam cię, moja droga, że przy systematycznej nauce tyle masz czasu na czytanie. Ja, powiem ci szczerze, dopiero po ukończeniu nauki zaczęłam czytać te wszystkie utwory, które ty wyliczasz. Pytasz, jaka powieść podoba mi się najwięcej; odpowiem ci na to, że teraz z największym zachwyceniem czytam „Klasyk" powieść Deotymy: „Branki w Jasyrze." Ponieważ ja nie widzę, z łatwością dostajesz do czytania rzeczy, dla starszych przeznaczone, więc radzę ci szczerze o tę powieść się postarać, nie pożałujesz tego.

Królewna z salin zapytuje mnie, wyliczając mnóstwo pseudonymów, jaki jęj wybrać radzę. Mnie, moja miła, ten terazniejszy wydaje się tak malowniczy i niezwykły, że będąc na twojem miejscu, wołałabym go od tamtych wszystkich. Lecz nowość ma także swój urok, zmieniaj więc, jeżeli chcesz. Królewno moja, ja jednak nie potrafię wyboru zrobić, musisz tego sama dopełnić. Liścik twój taki zajmujący, że Kochana Pani, na przedstawienie moje, przyrzekła mi dać jeszcze przed Nowym Rokiem kawaleczek miejsca w Piśmie, ażebyś mogła przytoczyć z niego dłuższe wyjątki. Wówczas wspomnę także o listach niemniej ciekawych: Gajówki modrej, Jesieni, oraz Sarneczki z nad Sanu, bo dziś, sama to rozumiem, niepodobna już tego pisania przedłużać. Do widzenia więc niezadługo, miłe i kochane przyjaciółki, polecam ci życzliwości waszjęj,

Gołąbka pocztowa.

P. S. Czeka także oddawna kolei zajmujący opis podróżj Kalinki, dla braku miejsca dotychczas spoczywający w tece. Redakcyja przezemnie kochaną Kalinkę przeprosi i o cierpliwość prosi.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

W zapale botanicznym wujaszek Bak gotów był bez artu poświęcić siostrzenicę za rzadki okaz roślinny. Postrzymała go pani Gudula, jak rozszluszczona indyczka przytoczyła do niego i krzyczała w niebogłosość:

— Cóż to znowu! Czyż siostrzenica nasza jest jakimś nantem, który można dać i darować pierwszemu lepszemu? Pan brat oszalał! Ona ma przecież swoją wolę i nie pozwoli sobie rozporządzać.

— Ach, to prawda! — westchnął wujaszek — ma ona wolę i my tę wolę spełniać musimy zazwyczaj. Nie zaważiliby jednak jęj zapytać, a może sama zechce...

— Co, co! — wykrzyknęła ciotunia zaperzona — jak można przypuszczać coś podobnego! Żeby siostrzenica nam chciała być żoną dzielnego człowieka?

— Zawsze jednak — upierał się wujaszek — jeżeli ma postępować podług swojej własnej woli, koniecznie zapytać jęj trzeba.

— Ależ to istne szaleństwo! — wołała p. Gudula — mi myślę pytać, poco ją darmo rozdrażniać.

— Zdaje mi się — odezwał się nieśmiało — że p. Katarzyna nie jest wcale rozdrażniona. Mojem zdaniem należałoby rzeczywiście wyrozumieć, co ona o tęg całej sprawie myśli.

Wtem ukazał się p. Anatol Lemercier w towarzystwie Edgara i Henryka. P. Gudula natychmiast zaczęła przed nim skargi rozkładać, wykrzykując raz po raz:

— Afrykanin! Dziaki człowiek! Słyszałże to kto coś podobnego?

— Szanowna pani — rzekł poważnie p. Lemercier — przynosimy tu właśnie dziwne wieści. Zdaje się, że wódz Auab nie jest Afrykaninem, że pochodzi z Europy i ród swój wywodzi z domu dość szlachetnego, bo ni mniej ni więcej, tylko *królewskiego!* — ten ostatni wyraz wymówił z wielkim naciskiem, ciotunia uchwyciła się za głowę i nowe wydawała wykrzykniki, ja zaś ze zdziwieniem spoglądałem na Francuza. Widziałem z miny jego, że nie żartuje.

XXX.

Książę Fryderyk.

Pan Lemercier opowiedział nam dzieje dziwne, na bajkę zakrawające. Podczas gdy ja z Karolem i resztą służby zajęty byłem poszukiwaniami, Francuz nie tracił także czasu, a Edgar Voost podał mu myśl, ażeby zwiedzić dokładnie namiot Auaba, musiał mieć jakieś podejrzenia, których wyjawiać nie chciał. Poszli więc tam wraz z szejkiem, przetrzęśli wszystko, nie znaleźli wprawdzie śladów zaginionych, lecz wychodząc już z namiotu, kapitan Lemercier spostrzegł w wejściu chorągiew i tarczę młodego wodza Tademeketów.

— Co to może być! — zawołał ze zdziwieniem — te znaki nie są wcale podobne do dziwacznych figur, używanych zazwyczaj przez plemiona afrykańskie. Ja się znam trochę na heraldyce, to jest herb, i herb wcale nie pospolity.

— Czyżbyś pan poznał, co ten herb oznacza? — rzekł Edgar — ja wprawdzie widzę także doskonale, że to nie jest znak afrykański, ale nie znam się o tyle na herbach, abym mógł znaczenie jego wyjaśnić.

— Znaczenie to jest historyczne — odrzekł Francuz — najmniejszej wątpliwości nie ulega, że ten orzeł i otaczające go ozdoby, to herb cesarstwa niemieckiego, przybrany przez cesarza Konrada w r. 1147.

— Nie jestem tak uczonym, jak pan — mówił Henryk Voost — ale i ja kiedyś w szkołach miałem do czynienia z historią, wiem zatem, że orzeł z dawien dawna był herbem cesarstwa niemieckiego.

— A teraz spojrzycie panowie na tarczę — ciągnął dalej Francuz — te lwy przytulone do siebie są herbem księstwa Szwabskiego, otrzymał go Hryderyk Hohenstaufen od cesarza Henryka IV.

— I cóż to wszystko może znaczyć? — pytali obaj bracia zdumieni.

— Mam ja pewne domysły — rzekł Francuz — dziwne na pozór i nawet nieprawdopodobne, ale dziwniejsze rzeczy dzieją się na świecie.

— Cóż takiego? Nie trzymajże nas pan w niepewności — nalegali dwaj bracia.

— Zaraz, zaraz; obejrzymy wprzód jeszcze ten miecz, który Auab zwykle bierze na wojnę. Kto jest choć trochę obeznany z archeologią i widywał broń starożytną po muzeach, od razu pozna w tym mieczu zabytek z czasów średnio-wiecznych; ja nawet śmiało mógłbym zaręczyć, że pochodzi z XIII wieku.

— Francisk bono nigdy się nie myli — ozwał się milczący dotąd szejk el Bakai — ten miecz od czasów niezmiernie dawnych jest w posiadaniu rodu Auaba, stanowi cenną bardzo pamiątkę i z ojca na syna przechodził. Wiem z największą pewnością, że jeden z przodków dzisiejszego wodza, tak samo zwany Feredzi eg Auab, walczył tym mieczem podczas oblężenia Tademeki w r. 1272-gim.

— A co, czy nie mówiłem? — rzekł Francuz z tryumfem — jeżeli miecz ten przy końcu XIII wieku wślawił się w dziejach afrykańskich, to i chorągiew wraz z tarczą pamiętają niezawodnie te dawne czasy.

— Ale powiedzże pan wreszcie... — pytał Edgar z ciekawioną.

— O, cierpliwości, moi panowie — przerwał Francuz z uśmiechem — musimy jeszcze dobrać się do skarbcza naszego wodza, przeczuwam, że tam nowe odkrycia nas czekają.

Szejk Achmet el Bakai wziął na siebie przekonanie podskarbiego Auaba, że nie w złych lub podstępnych celach chciano obejrzyć podróżny skarbiec jego pana. Otworzył zatem okutą szkatułę, którą zawsze woził z sobą Auab i która zawierała część jego bogactw. Reszta, jak wiemy z deklamacy Si-dyaby, ukryta była w jakiejś jaskini, powierzonej jęj pieczy.

Wysypano na stół mnóstwo złotych monet, niektóre wyglądały jak nowe, zapewne od wieków nie były używane i leżały w skarbcu wodza. Stemple widoczne, łatwe do rozpoznania, wybornie się przechowały.

— Oto jest dukat z wizerunkiem Konrada IV, księcia Szwabii i Frankonii. Władca ten umarł w r. 1254 — mówił powoli p. Lemercier, jakby wykladał słuchaczom lekcję historii — wszystko jest w porządku, monety, zarówno jak broń i heraldyczne zabytki, pochodzą z XIII wieku. A teraz, jeżeli chcecie panowie zrozumieć moje przypuszczenia i domysły, muszę wam opowiedzieć dzieje księcia Konradyna.

— Nieszczęśliwego Konradyna? — zapytał Henryk — pamiętam coś trochę, rozrzewniały mnie kiedyś te smutne dzieje; ale cóż może być wspólnego?...

— I ja coś trochę pamiętam — dodał Edgar — ale niezbyt dokładnie.

— Posłuchaj pan — mówił pan Lemercier — Konradyn objął po ojcu Konradzie IV-tym władzę nad księstwami Szwabii i Frankonii. Tymczasem przyszła mu ochota odebrać koronę Sycylii Karolowi Andegawęńskiemu. Znalazł też wielu stronników, pomagających mu szczerze w tem przedsięwzięciu. Książę austryacki i Fryderyk Lanza zbierali Gibelinów w Lombardyi i Toskanii, a tymczasem Henryk i Fryderyk, książęta Kastylii, zjednali sobie pomoc sułtana Tunisu i tam zgromadzili znaczny oddział wojenny, z którym zamierzali wylądować w Sycylii. Przedsięwzięcie to nie powiodło się, pobito Niemców w r. 1268 pod Tagliacozzo, a spadkobierca książąt Szwabii zginął na rusztowaniu. Smutna to karta historii!

— Tak, dziś jeszcze to wspomnienie bolesne wrażenie wywiera — rzekł Henryk — daremnie jednak usiłuję odga-

dnąć, co za związek mogą mieć losy Konradyna z wodzem Tademeketów?

— A czy wiesz pan — zapytał p. Lemercier — co się stało ze stronnikami nieszczęśliwego Konradyna po jego śmierci?

— Wiem, że się rozproszyli, ale gdzie mianowicie szukali schronienia, tego nie umiałbym powiedzieć.

— Fryderyk Kastyjski, Fryderyk Lanza, Albert Niedźwiedz, Henryk Lew i wielu innych Gibelinów udało się na dwór sułtana Tunisu. Zabrali też z sobą osieroconego syna Konradyna, młodego Fryderyka, księcia Szwabii...

— O, mój Boże! czyżby to było możliwe? Ale mów pan dalej.

— Gibelini zajęli wysokie stanowiska w wojsku sułtana i w r. 1270 dopomagali mu w obronie Tunisu, oblężonego przez Francuzów. Zawzięta walka toczyła się pod murami miasta, poeci arabscy opiewali je w swoich utworach, w fantastycznym niemal świetle przedstawiając bohaterskiego króla Franków, Ludwika świętego. Francuzi, jak wiadomo, ostatecznie zwyciężyli, Karol Andegaweński nałożył ciężkie bardzo warunki na sułtana Tunisu przy zawarciu pokoju. W tych warunkach zastrzeżone było między innymi wygnanie wszystkich Gibelinów w następujących słowach: „Fryderyk hiszpański, Fryderyk Lanza i inni zdrajcy, którzy się sprzeniewierzyli królowi Sycylii, opuszczą niezwłocznie ziemię, do sułtana Tunisu należącą, i nigdy, pod karą więzienia, nie powrócą”. Jeżeli mię pamięć nie myli, tak brzmiał dosłownie jeden paragraf traktatu.

— Wyborną pan masz pamięć — rzekł Edgar — ale słuchamy niecierpliwie, i cóż się stało ze stronnikami Konradyna?

— Sprześladowani tak zawzięcie przez potężnych nieprzyjaciół, Gibelini udali się w głąb Afryki, zabierając z sobą młodego Fryderyka, księcia Szwabii.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Od Rusałki złotowłosej dla Gołąbki pocztowej).

*Pierusze przyimek, a drugie trzecie
W sklepie znajdziecie.
Wszystko zaś razem złożone
W niebezpieczeństwie daje obronę,*

ZADANIE GŁOSKOWE.

(Od Heliotropa dla Datury).

Warszawa—Węzyk—W róg—Wisła—Wesele—Wiadro
— Wiosło — Witebsk — Wierzyciele.

Z każdego wyrazu weź głoskę jedną,
I nazwisko z tego złóż
Poety, który rzucił Polskę biedną,
Aby skonać w kraju róż.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA (S. Z.)

Deotyma — gołąbka — dostatek — Belina — karabela — Paulina — Janczary — piaski — szarotka — sobota. — Każdy z tych wyrazów, przedstawiając litery, rozłożyć na dwa odmiennie, następnie tych dwadzieścia wyrazów w takim porządku ustawić, aby pierwsze ich litery utworzyły przysłowie

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48 go.

Łamigłówni zgłoskowój:

Sieć — Michaś — Uznojmo — Twed — Elektroliza — Kastor
Smutek — Radość.

Zagadki:

W A l f a b e c i e mieści się dziewięć liter.

Łamigłówni kryształowój:

T
R A K
K A R T A
K O N N I C A
T A R N O W S K I
S I E W N I K
K A S S A
O K A
I

OGŁOSZENIE.

I znów gwiazdka zaświta, aby przypomnieć człowieczeństwu Tego, który zstąpił z Niebios w celu odkupienia. Znowu chodzić będzie Chrześcijaństwo o Narodzenie się Boga, dzień uroczysty, który wszyscy starają się uświęcić, Ojcowie i matki w krągach rodzinnych przygotowują dla swych dzieci rozmaite uciechy, lecz spełnienie tych najgorętszych życzeń dla rodziców i krewnych będących w ubóstwie jest niedostępnem. Otóż w imieniu części tych ubogich, których dzieci leczą się w Warszawskim Szpitalu dla dzieci przy ulicy Aleksandra pod N-r. 25 udajemy się do osób możniejszych, z prośbą o przyjsie Szpitalowi z pomocą przez ofiarowanie ubrań wyszłych z użycia, podniszczonego obrusów, innych przedmiotów sprawić mogących uciechę chorąj dzieci, rozdania i przybrania pamiątkowych choinek w dzień wigilijny, aby ta maluczka cierpiąca ludzkość już w początku swego żywota nauczyła się błogosławić ręce dobroczynne.

Wszelkie ofiary z wdzięcznością przyjmowane będą przez Starszą Siostrę Miłosierdzia Szpitala w jego gmachu przy ulicy Aleksandra N-r. 25.

TREŚĆ: Karakal (z drzew.). — W sąsiadach, wiersz p. Romanią Kamińską. — Czarodziejskie ogrody cesarzowej japońskiej (c. d.). — Upokorzenie (z drzew.). — List z Warszawy. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.). — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Stół zaczarowany p. Z. Morawską (z drzew.). — Bajeczka o próżnej Frani, wiersz p. Gabriele Jasielską. — Dziwna kura, opowiedziała Marya z Grabowa. — Łamigłówna i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.

STÓŁ ZACZAROWANY.

Tadzio bardzo lubił czytać, a szczególnie opisy rozmaitych zwyczajów i wspaniałych przyjęć na dworach królów i książąt, lub u wielkich panów. Wszystko, co tchnęło jakąś nadzwyczajnością, zajmowało jego umysł, ale niestety, bardzo mało zajmowała go szkolna nauka, nad którą głowy sobie łamać nie chciał. To też czytał z ciekawością opisy, podróże i powieści, a lekcye z tego na tem cierpiały, najwięcej zaś cierpiał jego własny umysł, w którym nie było ani ładu, ani porządku.

Jednego wieczora, późno w noc, czytał Tadzio opis wspaniałego święconego u jednego z wysokich dostojników w zeszłym stuleciu. Oprócz wspaniałej zastawy,

a z myślą o święconem i karłach zasnął. Wrażenie pozostałe z czytania żywo odbiło się w umyśle chłopca. Śnił więc, że po długiej podróży wszedł do pięknego pałacu; stoły ugiwały się pod ciężarem suto zastawionych potraw, nikogo jednak w owiej jadalni nie było. Tadzio był znudzony i głodny, oglądał się więc, czy nie wyjdzie z przyległej komnaty wspaniała postać gospodarza, lub uprzejma gospodyni, któraby go do używania darów Bożych, stojących na stole, zaprosiła. Nikt jednak nie wychodził i Tadzio postanowił sam sobie gospodarzyć.

Przysunął więc krzesło i usiadł przy stole, namyślając się, od czegoby zacząć. Wtem szum jakiś powstał, przy apetycznie wyglądającym, z nożem utkwionym wewnątrz świeżym bochenku chleba, stanął maleńki, na grubych nóżkach piekarz, i mówił uśmiechając się:



Stół zaczarowany.

ogromnej ilości mięsiwa i ciasta, święcone to odznaczało się jeszcze rozmaitemi niespodziankami. I tak: chciał kto wziąć kawałek smakowicie wyglądającego, olbrzymiego placka, zaledwie dotknął, a tu ze środka ukazywała się ręka, która uprzejmie podawała kąsek. Zapragnął kto się napić i chwycił za dzban, stojący na stole, aż tu ze środka ukazywała się głowa z dzwonekami i śmiejąca się, dawała spragnionemu nalany już puhar. Czego tylko kto dotknął, zaraz z wnętrza, czy to pasztetu, czy wielkich szynki i pieczeni, wyskakiwał służka, podając żądany przysmak. Można bowiem pan, chcąc zabawić gości, kazał się poukrywać we wnętrzu umyślnie ku temu urządzonego stołu karzełkom, których kilkunastu trzymał na swoim dworze, z rozmaitych stron świata mu ich zwożono.

Ale czasy zbytków minęły, a może nawet karły te istniały tylko w wyobraźni opisującego, dla większego zajęcia czytelników. Tadzio jednak tak się tym opisem zajął, że najzupełniej zapomniał o lekcjach na jutro,

— Smakowity i świeży ten bochenek chleba, ale ten tylko go ukroi, kto umie zbierać ziarno, aby potem z niego dla siebie i drugich pożywienia przysporzyć. Czyli, mówiąc jasno, ten tylko ma prawo chleb zajadać, kto się uczy, by umiał pracować.

Tadzio zarumienił się i przeniósł wzrok swój na dwa kosze, napełnione bułeczkami i ciastkami. Zaledwie spojrzął, wyskoczyły z nich dwie dziewczynki, a kłaniając się uprzejmie, mówiły:

— Praca, nasza matka, wysłała nas z temi kobiałkami, aby poczęstować tych, co dzień cały spędzili w ciężkim trudzie nad nauką i nie mieli czasu pomyśleć o posileniu się. Kto ma prawo do tego, niech sięga, prosimy!

Tadzio już miał sięgnąć do kosza, lecz przypomniał sobie, że przez cały dzień więcej myślał o zabawie, niż o lekcjach, których wcale nie umie i szybko odwrócił się od uprzejmych dziewczynki, a spojrzawszy na ogromny imbryk do herbaty, myśląc sobie:

— Chociaż czystej herbatki się napiję!

Ale na wierzchu imbryka siedział Chińczyk z ogromnym warkoczem, a trzęsąc głową i wyciągając dłonie, mówił z szyderstwem:

— Nie małośmy się napracowali, nimeśmy zebrali wonne ziele herbaty; jeżeliś i ty, młodzieńcze, na swojej niwie pracował, proszę, sięgnij po napój!

Tadzio odwrócił głowę i pomyślał:

— Bagatela! ślicznie pracował na mojej niwie, kiedyś żadnego zadania nie odrobił; ale niech tam, napiję się wina z tego wielkiego dzbana, to mnie rozweseli!

— Ha ha ha! — zaśmiał się wesoły głos, wychodzący z wnętrza, a tuż przy dzbanie stanął Bachus, bożek rozkoszy i wina. — Miłoby mi było mieć z waszeci towarzysza — rzekł — proszę, napijmy się i zabawmy, boś zapewne dzień cały spędził w ciężkim nad książką trudzie.

Tadzio miał ochotę Bachusa razem ze dzbanem rzucić na ziemię, dał jednak pokój i chciał sięgnąć po maszynkę z kawą, aby się nią orzeźwić po doznanych wrażeniach. Lecz przy maszynie stał Arab, wyciągnął do chłopca ręce i mówił:

— Napij się, napij, młodzieńcze, jeżeliś bezsenną noc strawił nad nauką, to cię owoc pracy mojej orzeźwi, bo praca pracę wspiera.

— A może zakąsisz daktylem lub figą — śmiał się drugi Arab, lecz zamiast owocu pokazał Tadziowi figę z palców.

Chłopiec zgrzytnął zębami i zerwał się z krzeselka, aby uciec od zaczarowanego stołu, z którego potrawy mówiły głosem ludzkim. Zerwał się rzeczywiście i usiadł na łóżku, a przecierając sobie oczy, aby odpędzić te dziwne widziadła, uszczęśliwiony był, że one snem tylko się okazały.

— Cóżby to było, żeby mi w rzeczywistości tak wymawiano moją opieszałość w naukach? — pomyślał sobie — Ach, ale ten sen ma dla mnie wielką naukę — myślał dalej. — Wszak tylko ten, co uczy się i pracuje, ma prawo zasiąść do uczty, przygotowanej przez innych, również pracujących. I ja muszę być godnym tej uczty!

Odtąd mniej czytał cudownych opowieści, a szczerze za to uczył się lekcyj, układając w głowie porządkiem nabywane wiadomości.

Z. Morawska.

Bajeczka o próżnej Frani.

Ach! jak się też Frania wystroić lubiła!
Niech tylko przyniosą jej nowe sukienki,
Już humor różowy u naszej panienki,

Choć jeszcze mała!

O mała, i bardzo! do lustra na ścianie
Dotrzeć nie może, choć nieraz się wspina,
By ujrzeć w zwierciadle własnymi oczyma

Nowe ubranie.

A jak się wykręca! co stroi za minki!
Siostrzyczkę dorosłą udaje,
Choć mama się gniewa i nieraz połaje

Za brzydki ten zwyczaj dziewczynki.

„Ach!” często myślała „mój Boże kochany,
Jakżebym dorosnąć już chciała!

Miałabym kapelusz kwiatami ubrany
I mnóstwo sukienekbym miała.

Trzy żółte, dwie białe, i cztery różowe,
A z ośm niebieskich do zmiany,

A wszystkie jedwabne, i strojne, i nowe,
Tak jak to przystoi dla damy.

I zdjęłabym zaraz fartuszek ten biały,
I także sukienkę z perkalu,

A ogon przypiąwszy do sukni wspaniałej,
Tańcowałabym poszła na balu.

I niktby na balu nie mówił mi przecie:

„Niech Mania tych miniek nie stroi!”

Bo przecie panience, co bywa już w świecie,
Co zechce, to robić przystoi.”

Tak nasza Frania, i marzy i roi,
Lecz wszystko daremnie, niestety!

Bo zawsze jej tylko dawano kajety,
Lub burę, jeżeli co zbroi.

Raz jednak Fransi się małej udało,

Gdy mamie wizyta wypadła,

Do siostry pokoju cichutko się wkradła,
I suknię ujrzała wspaniałą.

Ach! śliczna, jedwabna, jak obłok różowy,
O takiej dziewczynka wciąż marzy,

I kwiaty, i pióra niebieskie do głowy,
„Ach! jak w tem być musi do twarzy!

Ach, gdyby choć chwilkę, i cóż w tem jest złego,
Ja przecie nie zniszczę jej wcale,

Choć włożę na siebie i doznam raz tego,
Co Zosia, gdy chodzi na bale?”

Tak nasza dziewczynka tłómaczy się sama
I siostry sukienkę nakłada,

Choć czuje to dobrze, że w chwili tej mama
Nie byłaby wcale z niej rada.

Choć suknia za duża, a Frania za mała,
Toż musi być piękną w tym stroju!

Ach! żeby się przejrzeć, ach! żeby dostała
Do lustra, co wisi w pokoju!

Coś lustro wysoko, lecz za to wprost niego
Framuga od okna wystaje,

Więc Frania szczęśliwa z pomysłu swojego,
Po stołku się na nią dostaje.

I wdzięcznie ujawszy dwa rożki sukienki,
Dygnęła przed lustrem układnie,

I mówi, jak nieraz dorosłe panienki:
„Ach! jakże mi w sukni tej ładnie!”

Wtem nagle, wśród dotąd trwającej tu ciszy, ogło-
Głos jakiś pod oknem rozbrzmiewa,

I nasza dziewczynka spostrzega i słyszy,
Że ktoś się pod oknem wyśmiewa.

To chłopców się kilku zebrało z podwórza,
Stanęli pod oknem dziewczynki,

I śmieją się, widząc, jak Frania nieduża
Stroiła ukłony i minki.

„Ach, jakaż zabawna ta mała panneczka,
Lecz skądże te stroje wywlekła?

„To chyba nie panna, to pewnie małpeczka

Co z katarynki uciekła!"
Co? co? małpeczka? ona, ta dama,
Która tam w lustrze się wdzięczy?
Franusia schodzi z okna zmieszana
I gorzko płacze i jęczy.
Prawda! i ona teraz przjrzała,
I ona czuje i widzi,
Że słusznie jęć się kara dostała,
Że słusznie każdy z niej szydzi.
I od tój chwili naszój panience
Już się o strojach nie marzy,
Bo wie, że zawsze w skromnej sukience
Najbardziej dziecku do twarzy!

Gabryela Jasińska.

DZIWIWA KURA.

opowiedziała *Marya z Grabowa.*

(Dokończenie).

Jeżeli dzieci spróbowały zamknąć ją do klatki, gdzie było bardzo wygodnie, doskonałe ziarno, miękkie posłanie, woda w kryształowem naczyniu, kokoszka, czując zamkniętą kratę, rzucała się jak szalona, uderzając piersiemi o pręty, biegła dokoła, kwacząc żałośnie, to znow pogrążona w smutku, leżała całe godziny, jak martwa. Widocznie potrzebowała szerokiej przestrzeni do życia.

Dzieciom były przykre te wybryki ich wychowanek; lubiły ją bardzo, bo to miła było ptaszyna, nadzwyczaj do nich przywiązana i rozumiała, co do niej mówiono. Jak przyjeżdżały dzieci z sąsiedztwa, był gwar, tańce, muzyka, kokoszka, jakby do tego stworzona, chodziła z dziećmi po salonie, stąpając zgrabnie w pąsowej wstążeczce na szyi, wszyscy wtedy podziwiali jęć spryt i ułożenie wytworne, jak na pospolitą kurę. Dzieci zrobiły jęć ładną poduszczkę do spania w zgrabnym koszyczku, bo ona wyraźnie także wykwinęła i zbytki lubiła. Co do owęj kokoszki, często wynikały spory z panną Maryą, która utrzymywała, że jest to kura jak druga.

— Potrzebuje ona — mówiła — do życia stosownego pożywienia i nic więcej.

Dzieci zaś znajdowały, że jest to osobliwy ptak, który w kurniku żyć nie może. Helcia często, pieszcząc się z kokoszką, przemawiała do niej:

— Moja orlico, ciebie niezawodnie zła wróżka zaczarowała w kurę; tyś powinna być orłem, łabędziem, lub słowikiem. Ja wiem, że ty chcesz żyć inaczej, niż na podwórku, lub śmietniku, jak inne kury.

Ostatecznie postanowiono, że zagadkę tę rozstrzygnie wujaszek, który przybyć miał z Warszawy. Był to zacny profesor, a dzieci bardzo lubił i chętnie z niemi rozmawiał i niejednego nauczył. To też to było prawdziwe święto, jeżeli kiedy przyjechał na wieś; dzieci otaczały go dokoła, a on im opowiadał ciekawe rzeczy, naprzykład o maleńkiej pszczołce, jak te pracowite gosposie lecą co rano zgodnie zgarniać pył i słodycz

z kwiatów do koszyczka, który im natura przy nóżkach dała. Jaka to wspaniała ich królowa, która strzeże ula, jak matka i pani; a drobne mrówki, jak te się rządzą, jakie wojny prowadzą, a potem niewolników do pracy zaprzęgają, to warto było słuchać, a chociaż mama nieraz ostrzegała, że nie trzeba męczyć wujaszka, dzieci zapominały o przestrodze, aby tylko coś nowego usłyszeć.

Tym razem pochwały się zaraz swoją kurą, prosząc, aby wujaszek zadecydował, do jakiego rodzaju ptaków ona należy. Poważny profesor spojrział uważnie przez okulary raz, drugi, trzeci i uśmiechając się dobrotliwie, zawyrokował:

— Jest to sobie pospolita kura, powiem nawet, że nie z najpiękniejszych. Jest może mędrsza od wielu, oczy jęć wcale roztropnie patrzą, uczucie ma, skoro do was tak przywiązana, co zaś do tych orlich zapędów, śmieszne są podobne zachcianki w skromnej kwoczce. Może ma wielkie pragnienie do lotu, ale jęć natura nie dała do tego skrzydeł, musi więc rada nie rada poprzestać na cichem życiu w podwórku gospodarskiem, bo to kura, prosta kura, z temi pretensjami arcy śmieszna. Pamiętajcie, drogie dzieci — odezwał się poważnie wujaszek — że i ludzi, jak tę kurę, nieraz wyobraźnia, fantazya unosi daleko. Zdaje nam się, że sięgniemy na wyżyny, tam, gdzie szybują orły i geniusze; jak ona kalcemy skrzydła i rozbijamy pierś o klatkę; strzeżcie się tego, szczególnież wy, dziewczynki, pracą i poczuciem obowiązku trzeba ujarzmić te szalone zapędy. Waszę kwoczkę oddajcie Janowej, ona tam się znajdzie w swoim żywiole.

Dzieci chętnie przychyliły się do rady wujaszka, ponieważ z rodzicami wyjeżdżały na czas dłuższy do Krynicy, wolały więc swoją wychowaną powierzyć troskliwej opiece gospodyni. Po dosyć długiej nieobecności nareszcie powróciły do domu, pierwsza rzecz była dowiedzieć się o ogródek i o faworytów: czy kucyk zdrowy, co porabiają króliki i owa ukochana kwoczka. Chodząc tak od jednego do drugiego, zaszli na folwark do Janowej; radość była wspólna, bo dzieci bardzo tę pocziwą kobietę lubiły.

— A nasza kurka? — spytały nareszcie — czy też żyje?

— Ach! żyje — odpowiedziała Janowa, pokazując pospolitą kurę, otaczającą troskliwie skrzydłami gromadkę ślicznych kurczątek — to matka nieoceniona; z początku, jak ją posadziłam na gniazdo, rzucała się po dawnemu, ale z chwilą przybycia piskląt, zrobiła się najczulsza kwoczka. Jeżeli tylko zbliży się ktoś do jęć dzieci, to oko jęć zabłyśnie, pióra się najeżą, wystawi dziób i pazury, a wtedy najsilniejszy ustąpić musi. To prawdziwa orlica, tak broni gniazda i nie dba o wygodę, nie dba o ziarno, tylko za temi dziećmi patrzy. Już to teraz widać, że ona była stworzona do tego, żeby kochać i pielęgnować swoje pisklęta.

LAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

(Od Kozaka z nad Dniepru dla Zawiei ukraińskiej).

Z następujących zgłosek: ak — bal — bir — dye —
dward — e — gożk — i — in — ka — ka — mo — o — o — ri — sa —
sku — stro — sy — ta — wiec — za — ułożyć wyrazy: 1. Miasto
w Azji. 2. Miasto w gub. woroneskiej. 3. Drzewo rosną-
ce w Arabii. 4. Kraj w Azji. 5. Imię męskie. 6. Kraj
w północnej Azji. 7. Roślina amerykańska. 8. Imię bi-
blijne. Początkowe litery powinny utworzyć nazwisko
dzielnego króla, końcowe w kierunku przeciwnym dziel-
nego obrońcę twierdzy. Obaj zwyciężali Turków.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 48-go.

Lamigłówni zgłoskowej:

KarzeŁ — Rawicz — Alojza — SzkłóW — ZenoN —
EligI — WęglE — SerB — KrasickI — IndyE.
Kraszewski — Łza w niebie.

Skrzynka do listów.

Wisienka z nad Wilii (dodatek dla odróżnienia od innej Wisienki), zapewne niepewną drogą pierwszy liścik przesłała, nie otrzymaliśmy go wcale, bo nigdy nie pozostawiamy liścików bez odpowiedzi. Przekona się o tem kochana Wisienka, zapoznawszy się bliżej z naszą redakcją.

Wróbelek z nad Donu nie wie o tem, że z lamigłówkami czasem i pół roku, i dłużej czekać trzeba kolei; ale niema rady, sprawiedliwość tego wymaga.

Westalka nie spodziewa się zapewne, że długim swym liścikiem, tak pełnym wynurzeń, trafiła prosto do serca tój, która kiedyś za młodu zupełnie podobne miała usposobienie i może też z tego powodu serdecznie ma pociąg do kochanej Westalki.

Brzydotka z nad Tamizy zapewne w porę otrzyma żadaną książkę, oby jęj się tylko podobała. Liściki, czy z nad Tamizy, czy z nad Izery, zawsze z zajęciem są czytane w naszej redakcyi.

Włoszka jest bardzo dobra i kochana, że i pod obcem niebem o nas nie zapomina. Prosimy o przysłanie jakiego kwiateczka z tych stron dalekich. Znajomy Włoszki już dzięki Bogu może się uczyć pod szarem niebem ojczystem, więc nie wyjeżdża w tym roku.

Amata bardzo ładnie i roztropnie pomysł swój wyraziła; liścik ten przeszedł w ręce Gołąbki pocztowej.

Mazurka z nad Narwi bardzo słusznie mówi, że najpożądaną nagrodą powinno być zadowolenie wewnętrzne ze spełnienia politycznego czynu. Ale i nagroda była ze wszech miar zasłużona.

Żywe Srebro zaczyna coraz ładniej pisać, a liścik po dłuższym milczeniu sprawił nam bardzo miłą niespodziankę. „Gwiazda Sudanu” jest opowiadaniem prawdziwym, na rok przyszły mamy przygotowane podróże niemniej zajmujące.

Lubym przyjaciółkom: Jaskółce z nad Sekwany, Jesieni, Dzieweczce z nad Wisły i Halce, najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia Świąt wesolych przesyła z podnóża śnieżnych Alp, z nad brzegów Izery, z prośbą o pamięć. Brzydotka z nad Tamizy.

Droga mi Jesieni! Nie masz mnie o co przepraszać, bo wcale się nie gniewam. Donieś mi co o sobie, bo nic nie wiem, nawet w jakim jesteś wieku. Donoszę ci, że wcale nie gram na fortepianie, a z nauk najbardziej lubię literaturę i geografiją; wieś, tak jak i ty, przekładam nad miasto. Odpisz mi, nie zrażaj się, że taka stara, bo już kończę 17 lat, bądź pewna, że na każdy twój list z ochotą odpiszę. Twoja Westalka.

Droga Królewno Salin! Nietylko ze szczegółów jakie mi dajesz nic dojść nie możemy nawet z mamą, ale jeszcze bardziej jesteśmy zbałamucone. Zmiłuj się więc, powiedz choć pierwszą literę nozwiska mojej Odeskiej znajomej, bo się zestarzęję z ciekawości. Na pensyi nie będę się uczyła i muzyki także się nie uczę. Kochająca cię Konwalijka z nad Bobrówki.

Kochana Gosposiu z nad Warty! Nie czekając na odpowiedź, jestem zmuszona pisać do ciebie *ruż* drugi, gdyż w druku zaszła omyłka, zamieszkuje bowiem miasto Wartę a nie Warszawę, Niezapominajka z nad Warty.

KSIĘGARNIA

Teodora Paprockiego i S-ki

w Warszawie, Nowy Świat N-r. 41,

POLECA NOWE DZIEŁA WŁASNYM NAKŁADEM WYDANE:

Antologia prowansalska. Wybór poezyj trubadurów i felibrów, od XI do XIX wieku, dokonany i przetłómaczony przez Edwarda Porębowicza. Część I. Trubadurowie. 75.

Barnum P. T. Sztuka zdobywania pieniędzy, czyli rady i wskazówki dla chcących zrobić majątek. Wolny przekład z angielskiego. 30.

Choiński-Jeske Teodor. Nad Wartą, powieść. 1.

Gadomski Jan. Larik, tragedia w 5-ciu aktach, z motywów dziejowych. Wydanie 2-gie. 5.

Galdos Perez B. Donia Perfecta, powieść, przekład z oryginału hiszpańskiego przez A. G. 75.

Gibier Paul d-r. Spirytyzm. Studium historyczno-krytyczne i doświadczalne z punktu widzenia psychologicznego, przełożył J. W. Dawid. Tekst objaśniony 25 drzeworytami. 1 50.

Goethe. Faust, tragedia, przełożył Ludwik Jenike. 1.
Hajota Co zwycięzca! Obrazek dramatyczny w 1-ój odsłonie. 40.

Junosza Klemens. Wilki i inne szkice i obrazki. Z rysunkami F. Kostrzewskiego. 2.

Loti Piotr. Rybak islandzki, powieść. Przełożyła Wila Zyndram-Kościalkowska. 60.

Meyer Maurycy d-r. Najnowsza ekonomia polityczna w jej głównych kierunkach na podstawie historycznej i krytycznie przedstawiona, przełożyli Feliks Jeziorański i Józef Piasecki. 1 20.

Meyer M. J. W państwie gwiazd. Astronomia w pogadankach popularnych, przełożył z niemieckiego Feliks Werminiński, z licznymi drzeworytami w tekście. 1 50.

Mohort Julian. Listy do przyszlęj narzeczonej. Wydanie 3-cie. 30

Nałkowski Wacław. Zarys geografii powszechnej (rozumowej). 2 50. W oprawie płóciennej ze złoceniami. 3 20.

Nie wypada podręcznik prostujący najczęściej popełniane błędy w życiu towarzyskiem i języku. Wolny przekład z angielskiego „Don't.” Wydanie drugie. 30.

Reisky Roman Br. Podręcznik gospodarski dla właścicieli ziemskich. 20.

Schroot A. Życie i zdrowie człowieka. Rys higieny popularnej. Przełożył za upoważnieniem autora i opracował d-r. med. Aleksander Fabian. W prenumeracie rs. 2 kop. 50, po wyjściu 3 50.

Sejgnobos Ch. d-r. Historia cywilizacyi, przełożył podług najnowszego wydania francuzkiego Adolf Dygasiński. Ze 177 drzeworytami, artystycznie wykończonemi. Cena rs. 5 kop. 20, w oprawie w płótno angielskie lub w półskórek ze złoceniami. 6.

Sewer. Świat ludowy. Nowele. Dla świętej ziemi: 1. Kasia. 2. Hanka. — Dola. 1 50.

Smoliński Władysław. Stanowisko Waleryana Kalinki w historyografii polskiej. Studium. 40.

Sochacki A. d-r. Apteczka dla dworu wiejskiego i osób na wsi zamieszkałych. 75.

Szretter Piotr. Nauka pięknego pisania (kaligrafii). Wskazówki dla nauczycieli i uczniów. 40.